

Historia

Losy wojenne

Tekst: Krystyna Orłowska, cz.5

W Kazachstanie: Siergo

Opuszczenie Farabu nie spełniało naszej nadziei dotarcia w okolice Taszkentu, gdzie miało się formować polskie wojsko. Zamiast tego znaleźliśmy się w Kazachstanie, w miejscowości Siergo. Nadal nalegano, abyśmy jechali do pracy w kolchozach. Pod kontrolą NKWD, co dzień zjawiali się Kazacy z wielbładami i osłami, aby nas przewieźć do kolchozów. Jednak bliskość linii kolejowej pozwalała wierzyć, że kiedyś w jakiś sposób uda nam się wydostać.

Dwóch mężczyzn z naszej grupy wyjechało do dużego miasta, chyba do Czambułu, sądząc, że natrafią tam na jakieś polskie placówki. Konieczne trzeba było zawiadomić ich, że w Siergo znajduje się duża grupa Polaków przebywająca w okropnych warunkach. Byłam bardzo chora, poza odrą miałam zapalenie gardła i bronchit, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, co mi bardziej dokuczało: wszy, które ulokowały się w ciepłym szaliku chroniąc chore gardło i kasały mnie niemiłosiernie, czy okropne pragnienie i halucynacje, które najwyraźniej miałam, bo ciągle widziałam tatusia, który podawał mi zimną lemoniadę. Zjawił się jakiś lekarz, którego rodzice zostali zesłani do łagra. Chodził od domu do domu i za jedzenie leczył ludzi. Za parę kartek wyrwanych z mojego zeszytu przyniósł plastry z gorczycy (cokolwiek to było), którymi okładano mi piersi. Mama za 200 rubli kupiła od maszynisty lokomotywy jeżdżącej do Turkiestanu butelkę wina, które musiałam pić. Matka zmarłej Jagusi, pani Kasia, miała dla mnie trochę kaszy mannej, jeszcze zapasy z Polski, którą mi dała. To było moje pożywienie.

Po kilku dniach jeden z mężczyzn wysłanych po pomoc powrócił. Drugi wysłannik zmarł po drodze na tyfus. Pamiętam też, że zdobyto, naturalnie drogą wymiany, beczkę kiszanej kapusty z ogórkami. Tym się dzielili pozostali mieszkańcy kibitki. Kazacy ciągle się koło nas kręcili. Jeden z nich nawet chciał mnie kupić, dawał za mnie kozę, worek cebuli i worek marchwi. Obiecywał mamie, że będzie o mnie dbać i dzięki temu na pewno szybko wyzdrowieję. W kibitce był mały blaszany piecyk. Trudno w nim było rozpalić ogień, gdyż kawałki drzewa przynoszone z zewnątrz były często mokre. W Wigilię udało się rozpalić w piecyku, który dawał trochę ciepła. Smutny był to wieczór. Zaśpiewano kilka kolęd, życzo sobie poprawy naszego losu.

W kolchozie w Kazachstanie

Nie wiem, kto zdecydował i kto to załatwił, ale jeszcze przed Nowym Rokiem mieliśmy opuścić Siergo. Nie mogłam chodzić o własnych siłach. Dwóch mężczyzn z koca zrobiło nosze i zanieśli mnie do pociągu. Tym razem były to otwarte platformy, położyli mnie na podłodze. Ci dwaj mężczyźni to byli bracia – leśnicy. Mieli na sobie bardzo

już zniszczone mundury leśniczych z herbem Radziwiłłów, w których dobrach byli zatrudnieni jeszcze przed najazdem bolszewickim.

Dojechaliśmy do stacyjki o nazwie Ujuk, położonej w szczyrim stepie. Na peronie było już sporo ludzi z naszego transportu z Farabu. Zobaczyłam wśród nich, stojącą bez ruchu jak skała, panią Krasieńską. W Siergo straciła dwie córki, które były w moim wieku. Uratowała się najstarsza – Joasia. I znowu, jak poprzednio, przyjechali kolchoźnicy i zabrali ludzi do pracy. Ulokowano nas



Zofia Karwowska z Krysią - Turkistan

na kilku wozach, zaprzężonych w woły i pojechaliśmy do nowego miejsca pobytu. Jak się okazało, oddalonego 20 kilometrów od stacji.

Na wspaniałym koniu przyjechał Uzbek, wyglądał zupełnie jak król Batory. I od razu nadano mu przydomek „Batory”. Oświadczył nam, że jest to farma, która kiedyś należała do jego rodziców, zesłanych do łagra, a teraz on jest „precidentalciem” tego kolchozu. Powiedział, że teraz nie będziemy pracować, bo jest zima. Tutaj w sezonie uprawia się bawełnę i cebulę. Przydzielił nam przydział ziarna, który mieliśmy odpracować w lecie. Zamieszkaliśmy wraz z rodziną Irki, „babcią” i matką Jagusi – Kasią – w jednej izdebce ulepionej z „kiziaku”. Było w niej małe okienko, żelazny piecyk, żadnego komina. W tym czasie wypadały moje urodziny, w prezencie od mamy dostałam jajko na miękko! Mama zdobyła je od Uzbekki. Uzbekcy „na oko” byli sympatyczniejsi od Kazaków, nie wyglądali tak dziko. Nosili ozdobne „mycki” i koszule.

Powoli nabierałam sił. Zaczęłam wychodzić na zewnątrz i poznawać kolchoz. Była to duża wioska. Na tym bezkresnym stepie wielką atrakcją był strumień i młyn. Chyba był jedyny w okolicy, gdyż przyjeżdżali do niego Uzbekcy z innych kolchozów. Ziarno, które dawał nam „Batory”, trzeba było przesiać, oczyścić i zmielić w młynie. Było to moje i Lucyny – siostry Irki – zajęcie. Razem chodziliśmy do młyna. Staruszek Uzbek przyjmował nas bez kolejki, a mnie gładził po głowie i

mówił: „lechistani, lechistani”. Poza tymi atrakcjami był także „dom kultury”. Taka mała kibitka, wewnątrz której na ścianie wisiał, krzywo powieszony, portret Stalina, a przed nim okopcona naftowa lampa. Może dlatego kolchoz nosił nazwę „Internacjonal”...

Nieoczekiwanym źródłem dochodu, okazała się niedokończona, szedekłowa kapa na łóżko mamy roboty. Widocznie w czasie pakowania, przed wyjazdem, w zdenerwowaniu, ktoś ją spakował. To właściwie była taka koronka z pięknym wzorem. Zaczęłyśmy tą kapę pruć. Przychodziły uzbeczki, zawsze po kilka na raz, siadały na ziemi i cierpliwie czekały aż się im nawinęło nici na patyk. Naturalnie w zamian za jedzenie. Dzięki tej kapie, dostałyśmy od „Batorego” pozwolenie na zakup maślanki. Na farmie należącej do kolchozu hodowano barany i krowy. Raz w tygodniu chodziliśmy tam z Lucyną i za rubla wracaliśmy z wiaderkiem z maślanką. Zajmowało nam to prawie cały dzień, bo farma była bardzo daleko.

Do naszej małej grupy dołączyła Stefcia. Jej mąż Stanisław poszedł wraz z Irką i Kasią szukać wojska, pozostawiając żonę pod opieką mojej mamy. Ich dziecko zmarło wcześniej w Siergo.

Bez kłopotu dojechaliśmy do Turkiestanu – było tam wielu Polaków i ciągle przybywali nowi. Jak poprzednio, pełniliśmy dyżury na stacji kolejowej, aby przechwytywać i dzielić się listą z nazwiskami osób poszukiwanych przez najbliższych. W pociągach były osieroczone i zagubione dzieci. Wtedy dołączył do nas Staś, którego matka na którejś ze stacji wyszła z pociągu po wodę i gdy wróciła, było już za późno. Takich przypadków było wiele, gdzie ludzie po prostu się gubili. Przy delegaturze powstała ochronka dla dzieci imienia Paderewskiego, do której nadeszły transporty żywności. Mama z zapalem pomagała karmić te wygłodniałe dzieci. Ja zaś ponownie zachorowałam – tym razem na malarię.

W Turkiestanie spotkałam Dżanurę, koleżankę z Wilna. Dżanura była muzułmanką. W okolicach Wilna mieszkali muzułmanie, a w mieście znajdował się meczet. Dżanura chciała zobaczyć meczet w Turkiestanie. Poszliśmy go szukać. Niestety meczet był zburzony, po czystce w latach 30. Na murze okalającym budowlę siedzieli Uzbeki i Kazacy, starzy i młodzi, modlili się przed wyjazdem na front. Był to drugi rok walki z Niemcami.

Powrót do wolności

Przez delegaturę udało się mamie nawiązać kontakt z oddziałem łączności (mój ojciec był oficerem wojsk łączności). Przesłano po nas „kuriera” z biletem kolejowym, wystawionym na nasze nazwiska i kilku jeszcze osób, które były z nami blisko. W ten sposób nasze władze starały się wydobyć i pomóc jak największej liczbie osób cywilnych. Pod opieką „kuriera” dotarliśmy wreszcie do oddziału polskiego. Byłam bardzo wzruszona, gdy na stacji Wielika Aleksiejewska zobaczyłam umundurowanych polskich żołnierzy. Pod opieką wojska było już dobrze. Mieszkaliśmy w namiotach, nie byliśmy głodni. Żołnierze dzielili się swoimi racjami żywnościowymi z ludnością cywilną. A było jej tam sporo. W połowie sierpnia załadowano nas do bydłych wagonów – ale tym razem były to wagony, które miały nas dowieźć do wolności!

Wyjazd z Rosji

Radosny dzień opuszczenia Rosji, o mały włos nie skończył się dla mnie tragicznie. Na przełomie lipca i sierpnia 1942 roku, po kilkudniowej podróży w bydłych wagonach, brudni i głodni dojechaliśmy do Krasnowodzka nad morzem Kaspijskim. Kazano nam opuścić wagony, bez rzeczy. W wagonach przeprowadzono rewizję. Czego szukano? Byliśmy przecież nędzarami. Po powrocie do wagonu stwierdziłam brak mojego brulionu – dzienniczka. Był schowany pod posłaniem, na pryczy. Żal ścisłał mi serce – strata nie do odrobienia. Tyle w nim było spisanych faktów i wrażeń z naszej tułaczki po „nieczłowieckiej ziemi”. Wylądowano nas z pociągu i kazano się rozlokować na brudnym piasku tuż przy brzegu morza. O kąpieli w morzu, tak potrzebnej po długiej podróży można było zapomnieć. Woda w tym morzu była pokryta śmierdzącym, brązowym olejem, który oblepił mi nogi.